

# MATKA PREMIERA

## O POLAKACH W DOWBYSZU

– Być Polakiem w Związku Sowieckim w latach 1937–1938 to prawie to samo, co być Żydem w III Rzeszy – powiedziała do mnie starsza, siedemdziesięcioośmioletnia kobieta, Helena Trybl, w której domu gościliśmy w miasteczku Dowbysz<sup>1</sup> na Ukrainie. – W kraju zapanowała atmosfera powszechnego strachu, GPU–NKWD na polecenie władz urządziło prawdziwe polowanie na Polaków. Uważano nas za swoistą „piątą kolumnę”, zdolną w razie wojny z Polską zdradzić „ojczyznę światowego proletariatu” – dodaje. Helena Trybl jest matką byłego premiera Ukrainy Jurija Jechanurowa<sup>2</sup>. Jej los i trudna droga życiowa dobrze ilustrują tragiczne doświadczenia Polaków w Sowietach w XX w.

Sam też muszę przyznać, że był w moim życiu taki moment, kiedy myślałem, iż polskość na tych ziemiach nigdy się nie odrodzi. Zniszczone były jej korzenie. W roku 1938 władza sowiecka praktycznie zakończyła niszczenie Kościoła katolickiego. Z prawie pięciuset kościołów działających w 1923 r. na terenie Związku Sowieckiego, w przeddzień II wojny światowej pozostały jedynie dwa. Były to świątynie katolickie działające na potrzeby korpusu dyplomatycznego w Moskwie i Leningradzie. Dla niezliczonych ocalałych miejscowych Polaków wstęp do nich nie był zakazany, ale groził poważnymi konsekwencjami. Katolicyzm był na terenie ZSRS jedynym wyznaniem, które postanowiono zniszczyć całkowicie. Nie bez znaczenia był zapewne związek katolicyzmu z polskością. W stosunku do innych wyznań – prawosławia, islamu, judaizmu – przyjęto politykę ograniczania.



Helena Trybl

Helenę Trybl spotkałem po raz pierwszy na schodach kościoła katolickiego w Dowbyszu. Wyszła właśnie po niedzielnej Mszy z wnuczką, nie wzbudzając żadnej sensacji. Ta starsza kobieta, ubierająca się w ciemne stroje (jak większość tutejszych Polek w jej wieku), niczym szczególnym nie wyróżniała się wśród tłumnie wychodzących ze świątyni Polaków. Proboszcz miejscowego kościoła ks. Stanisław Firut mówi o niej jako o jednej z bardzo głęboko wierzących parafianek. Nie ma niedzieli, żeby pani Helena nie uczestniczyła w Mszy.

Urodziła się w 1928 r. w Marchlewsku, ówczesnej stolicy polskiego autonomicznego rejonu na Ukrainie, powszechnie nazywanego Marchlewszczyzną Sowiecką. O swoich rodzicach pani Helena mówi, że byli bardzo pobożnymi katolikami. W jej domu mówiono po polsku, pielęgnowano tradycje religijne i narodowe. W historii jej życia jak w lustrze odbiły się tragiczne dzieje Polaków, mieszkańców tzw. dalszych Kresów. Kiedy mała Helenka miała pójść do pierwszej klasy polskiej szkoły w Marchlewsku, szkoła została zamknięta,

<sup>1</sup> W latach dwudziestych przemianowany na Marchlewsk.

<sup>2</sup> Jurij Jechanurow – premier Ukrainy od września 2005 do sierpnia 2006 r.

a sama Marchlewszczyzna rozwiązana. Prawie połowę jej mieszkańców wysiedlono do Kazachstanu. Był wtedy rok 1935.

Od przedwojennej granicy Polski ze Związkiem Sowieckim do sześciotysięcznego Dowbysza na Żytomierszczyźnie jest prawie 110 km. Unikalność Dowbysza polega na tym, że jest to jedyne miasto na Ukrainie, w którym Polacy stanowią większość. Była stolica polskiego rejonu autonomicznego dziś przeżywa nowe polskie odrodzenie. Nad miastem góruje piękny nowo wybudowany kościół katolicki. Po latach straszliwych antypolskich represji, teraz liczba Polaków stale tu wzrasta. Powracają z kazachstańskiego zesłania dzieci i wnukowie wysiedlonych. Jakby wbrew logice można zaobserwować powolną polonizację miejscowych Ukraińców. Proboszcz twierdzi, że w rodzinach mieszanych polsko-ukraińskich i polsko-rosyjskich prawie zawsze zwycięża opcja katolicka.

Stefan Kuriata, przewodniczący Stowarzyszenia Polaków im. Jana Pawła II w Dowbyszu, mówi, że czasy, kiedy być Polakiem na Ukrainie było niewygodnie i nawet niebezpieczne, skończyły się bezpowrotnie. Autorytet Polski wyraźnie wzrósł w oczach Ukraińców, zwłaszcza po pomarańczowej rewolucji, chociaż samą rewolucję ludzie oceniają różnie. Polacy na Ukrainie mają dziś – jego zdaniem – absolutną wolność w rozwoju swego życia narodowego. – Wszystko zależy od nas samych i od Polski. Mamy tyle możliwości, ile jesteśmy w stanie wykorzystać. Problem polega na tym, że ograniczenie jest w nas samych, bo bardzo długo byliśmy ludźmi drugiej kategorii.

Stefan Kuriata też pochodzi z rodziny deportowanych. W 1935 r. Stalin uznał postępy sowietyzacji Polaków za niewystarczające. Uznał także, iż do zwalczania ich lojalności wobec II Rzeczypospolitej i Kościoła katolickiego należy stosować środki o wiele ostrzejsze niż perswazja. Chętnych do zastosowania tych ostrzejszych środków w stalinowskim imperium nigdy nie brakowało. Rozpoczęła się pierwsza fala antypolskich represji. Jednym z głównych wykonawców planu Stalina był Polak, pierwszy sekretarz ukraińskiej kompartii – Stanisław Kosior, który niedługo potem sam zginął, zmieciony przez kolejną falę represji.

W tragicznym roku 1935 małej Helenie i jej rodzinie poszczęściło się – ominęła ich wywózka. Ale, jak się później okazało, to właśnie ludzie wywożeni w pierwszej kolejności byli szczęściarzami. Pierwsza fala deportacji była wyjątkowo łagodna w porównaniu z późniejszymi. W 1937 r. ojca Helenki oskarżono o szpiegostwo na rzecz II Rzeczypospolitej. Wyrok za to mógł być tylko jeden. Całą rodzinę deportowano nie do „ciepłego” Kazachstanu, a do mroźnej Jakucji, gdzie w zimie temperatura spada do minus 50°C. Z głodu i chłodu w Jakucji zmarł młodszy brat Helenki. Pani Helena pamięta, jak dzieci w jakuckiej szkole, mimo że same w większości były z rodzin zesłańców, piły z jej polskośći. Najtrudniejsze były lata wojny. – Jak my z matką przeżyliśmy, jeden Bóg wie – mówi ze łzami w oczach.

Profesor Henryk Stroński zna w Dowbyszu prawie każdego. Jest kronikarzem dziejów polskiej mniejszości na Ukrainie, a zarazem przewodniczącym stowarzyszenia naukowców uznających się za Polaków. Mieszka w Tarnopolu, wykląda na tamtejszym uniwersytecie. Często gości w Polsce z odczytami. O resztkach polskiej inteligencji na Ukrainie mówi: „Był czas, kiedy my, Polacy, mówiliśmy o sobie, że nie jesteśmy już narodem, tylko grupą społeczną, prawie całkowicie zniszczoną, sprowadzoną na sam dół społeczeństwa sowieckiego. Przeprowadzona w latach 1935–1938 tzw. polska operacja NKWD przeraża nawet doświadczonego badacza swym rozmachem i bezwzględnością. Rozstrzelano w tym okresie 111 tys. Polaków, obywateli sowieckich, czyli co siódmego człowieka mającego w swym paszporcie wpisaną narodowość polską. Polacy stanowili w tym czasie ok. 0,6 proc. ludności Kraju Rad,



Prof. Henryk Stroński

natomiast 15 proc. wśród ofiar terroru stalinowskiego<sup>3</sup>. Polska inteligencja w Rosji przestała istnieć. Jej resztki, w obawie przed represjami, przeniosły się do Polski albo wynarodowiły się. Dziś sytuacja zmienia się, ale bardzo powoli”.

Zniszczenie polskości na tzw. dalszych Kresach w okresie międzywojennym stanowiło – według Strońskiego – kolejny etap konsekwentnej polityki „odpolonizowania” tych terenów, prowadzonej przez Rosję carską nieprzerwanie na przestrzeni całego XIX w. Antypolska polityka caratu i niszczenie narodu polskiego w okresie stalinizmu miały wyraźnie wspólny cel – doprowadzenie do powstania zupełnie nowej sytuacji

narodowościowej i przekształcenia licznej niegdyś zbiorowości Polaków – Kresowiaków w kategorię wyłącznie historyczną. Stojąc na schodach kościoła w Dowbyszu nie mogłem opanować wzruszenia – Boże! Po tym wszystkim, co się stało, polskość przetrwała, polskość się odradza!

Osiemnaście lat temu ukazała się moja książka *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939*. Przedstawiłem w niej tezę, że Polacy byli pierwszą wielką grupą narodowościową ukaraną przez reżim stalinowski właśnie za swoją przynależność narodową, a nie – jak dotychczas praktykowano – za tzw. przynależność klasową. Po raz pierwszy, już w 1935 r., w ZSRS zastosowano masowe represje „według krwi”, jak to określił w *Archipelagu Gulag* Aleksander Solżenicyn. Po wieloletnich badaniach z całą stanowczością potwierdzam tę tezę.

Tragiczne pierwszeństwo Polaków wśród narodów prześladowanych przez stalinizm (później do grupy „ukaranych narodów” dołączyli Koreańczycy, Ingermanlandczycy<sup>4</sup>, Tatarzy krymscy, Niemcy nadwołżańscy, Czeczeni, Ingusze, Kałmuci i inni) wynikało z kilku powodów. Zarówno w sensie ekonomicznym, jak i militarnym Polska była najpotężniejszym państwem demokratyczno-parlamentarnym, mającym wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim. Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli potencjalnego „imperialistycznego agresora”, zdolnego realnie zagrozić stabilności władzy sowieckiej. Propaganda komunistyczna traktowała Polskę jako wroga numer jeden i bardzo często posługiwała się „polską kartą” jako swego rodzaju straszakiem w kolejnych kampaniach walki z wewnętrznymi przeciwnikami ustroju, mającym uzasadniać stalinowski terror. Szczególne zagrożenie wojną ze strony Polski podkreślano przy każdej nadarzającej się okazji w oficjalnych dokumentach Międzynarodówki Komunistycznej. Po przewrocie majowym w 1926 r. sowieckie źródła masowego przekazu zaczęły określać II Rzeczpospolitą nie inaczej jak „Polska faszystowska”. Do tego dochodziły także osobiste uprzedzenia Stalina wobec Polaków oraz zadawnione antypolskie nastroje w społeczeństwie rosyjskim i sowieckim. Likwidacja polskiej „piątej kolumny” stała się jednym z najważniejszych uzasadnień terroru

<sup>3</sup> N. Ochotni, N. Petrow, A. Roginskij, *Pierwsza zagłada Polaków*, „Wprost” z 30 IV 2006, s. 78–79.

<sup>4</sup> Prawosławni Finowie zamieszkujący obszar po obu stronach Newy między jez. Ładoga a Zatoką Fińską.

stalinowskiego na długo przed Katyniem i masowymi represjami wobec Polaków, obywateli II Rzeczypospolitej.

Helena Trybl pamięta, że ludzie czujący się Polakami musieli to ukrywać. Po wojnie, żeby jakoś żyć, zmuszona była zmienić swoje polskie imię Helena, na rosyjskie Galina. Dopiero teraz, w niepodległej Ukrainie, wróciła do swego dawnego imienia. W Jakucji spotkała Buriata, buddystę, także zesłańca, którego wkrótce poślubiła. Tam też urodził się ich syn Jurij. Kiedy po wojnie pojawiła się możliwość powrotu na Ukrainę, mąż pani Heleny postanowił zostać. Z malutkim synkiem wróciła do Dowbysza pod koniec lat pięćdziesiątych. Pracowała jako nauczycielka w miejscowej szkole. Do polskości zaczęła przyznawać się w dobie gorbaczowowskiej pieriestrojki. Pierwszy raz po wojnie weszła do kościoła w 1990 r. Dziś jest szczęśliwa, że nareszcie może być sobą.

Opowiadała mi, jak podczas jej pobytu w szpitalu podszedł do niej jeden z chorych i zapytał – czy to prawda, że pani jest matką premiera? Uzyskawszy pozytywną odpowiedź i dowiedziawszy się, że pani Helena jest Polką-katoliczką, trochę naiwnie skomentował to w sposób następujący: „Teraz rozumiem, dlaczego ten premier tak się wyróżnia swoimi prawie arystokratycznymi manierami na tle naszych innych liderów. Wiadomo, jest Polakiem, ma takie polskie wychowanie. A tu mówią, że jest Buriatem”.

Ksiądz Stanisław twierdzi, że deportacji udało się uniknąć tym, którzy podali się za Ukraińców, a także niektórym katolikom z rodzin mieszanych. Po śmierci Stalina wielu Polaków wróciło z Kazachstanu. W odróżnieniu od Niemców nadwołżańskich, Polacy nie mieli zakazu powrotu w rodzinne strony. Ktoś czegoś nie dopilnował. Ale masowy powrót ludzi do Kościoła i szeroko rozumiane odrodzenie polskości na dalszych Kresach rozpoczęło się dopiero po upadku komunizmu. Ksiądz Stanisław przyjechał do Dowbysza jako misjonarz z Polski czternaście lat temu. Dziś nie wyobraża sobie powrotu do Polski na stałe. Zżył się z miejscowym społeczeństwem. Żyje na co dzień jego problemami. Tu ksiądz jest nie tylko duszpasterzem, ale i swoistym ojcem całej parafii. Do księdza ludzie idą po radę w sprawach zdrowotnych, proszą o pomoc materialną, o poradę w sprawach intymnych, zwracają się prawie zawsze, kiedy trzeba podjąć życiową decyzję.

Nauczył się mówić „po miejscowemu”. Jak twierdzi, nie jest to ani język polski, ani ukraiński, raczej dziwna miejscowa mieszanka polsko-ukraińska. Tutejsi Ukraińcy też posługują się tym dialektem. Msza św. w kościele zawsze odprawiana jest po polsku, ale kazania ksiądz Stanisław często wygłasza „po miejscowemu”. Na spowiedzi, kto w jakim języku się spowiada, w takim otrzymuje wskazówki księdza i rozgrzeszenie.

Prawosławni w Dowbyszu są w mniejszości. Nie przykładają też takiej wagi do praktyk religijnych jak Polacy. Kościół w Dowbyszu jest w prawie każdą niedzielę przepełniony, miejscowa cerkiew świąci pustkami. Z poprzednim prawosławnym proboszczem księdza Stanisława łączyły przyjacielskie stosunki. Często się odwiedzali. Prawie na każde święto prawosławne „batuszka” zapraszał kolegę księdza do cerkwi, gdzie wierni z wielkim zaciekawieniem słuchali jego kazania. Ksiądz Stanisław ze swej strony nie pozostawał dłużny, w katolickie święta wierni mogli wysłuchać w kościele kazania duchownego prawosławnego. Ze względu na nie najlepsze stosunki między dwoma największymi odłami chrześcijaństwa, przyjaźń duchownych w Dowbyszu nie mogła trwać długo. Ktoś doniósł i „batuszkę” przeniesiono gdzie indziej. Nowy, młody ksiądz prawosławny zachowywał się już „jak należy” – nawet nie zawsze witał się z księdzem Stanisławem.

Spotykani na ulicy starsi ludzie (co najmniej po osiemdziesiątce) prawie wszyscy dobrane mówią po polsku. Jeden z przechodniów zadziwił mnie długim, prawie dziesięciomi-

nutowym deklamowaniem na pamięć Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda*.

A teraz paradoks – krzewieniem polskości w Dowbyszu, równoległe z Kościołem katolickim, aktywnie zajmowała się ta sama sowiecka władza, która później tę polskość zniszczyła. Henryk Stroński opowiada o przepro-



Polski cmentarz w Dowbyszu

wadzonym w ZSRS w latach dwudziestych i pierwszej połowie lat trzydziestych eksperymencie z ludnością polską w ramach tzw. leninowskiej polityki narodowościowej. Było to utworzenie w rejonach zwartej osadnictwa Polaków przy granicy z II Rzeczpospolitą na Białorusi i Ukrainie polskiej autonomii narodowościowej, opartej na zasadach organizacyjnych społeczeństwa sowieckiego. We wszystkich państwowych i partyjnych instytucjach Marchlewszczyzny (z milicją i sądem włącznie) wprowadzono jako urzędowy język polski, podobnie prawie we wszystkich szkołach.

Jednym z głównych powodów „polskiego” eksperymentu i założenia Marchlewszczyzny było narastanie w ZSRS wrogich nastrojów wobec II Rzeczypospolitej. Dla komunistów sowieckich, którzy całkiem niedawno przegrali na przedpolach Warszawy wojnę z Polską, II Rzeczpospolita była idealnym wrogiem na użytek wewnętrzny. Profesor Henryk Stroński jest autorem wydanej w Polsce książki *Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach 1929–1939*. Oprrowadzając mnie po Dowbyszu, opowiadał, że szczególny charakter stosunków polsko-sowieckich w okresie międzywojennym spowodował niezwykle intensywne nasilenie prac nad budowaniem polskiego „społeczeństwa socjalistycznego” i jego wyraźne uprzywilejowanie w porównaniu z tworzonymi autonomiami innych narodów ZSRS. Marchlewszczyzna miała stać się wzorowym sowieckim rejonem autonomicznym. Nie szczędzono na ten cel ani sił, ani środków. Komuniści polscy w ZSRS zaproponowali stworzenie na Marchlewszczyźnie dużych zakładów przemysłowych, bo chcieli, by w polskim społeczeństwie kresowym powstała warstwa proletariacka. W ówczesnych warunkach jedyną taką możliwość stwarzał przyspieszony rozwój gałęzi przemysłu już istniejącego, mającego na miejscu odpowiednie zaplecze i surowce. Dlatego zdecydowano postawić na rozwój przemysłowego wyrobu szkła i porcelany. W latach 1928–1931 wybudowano na Marchlewszczyźnie dwie nowe huty szkła w miasteczkach Bykówka i Marianówka. Gruntownie zmodernizowano również dwie istniejące huty w Marchlewsku i Kamiennym Brodzie. Ta ostatnia w wyniku modernizacji zwiększyła swoją produkcję prawie dziesięciokrotnie, a liczba zatrudnionych wzrosła blisko trzykrotnie – z 580 do 1505 osób. Ogółem liczba robotników Marchlewszczyzny osiągnęła 5884, co stanowiło prawie 11,2 proc. całej ludności polskiego rejonu.

Tak zwana industrializacja Marchlewszczyzny formalnie dawała polskim komunistom w ZSRS możliwość występowania w imieniu polskiego proletariatu sowieckiego. W ich rozumieniu Marchlewszczyzna powoli przekształcała się w idealny rejon socjalistyczny, zarodek przyszłej Polskiej Republiki Rad. W miejscowej gazecie „Marchlewszczyzna Radziecka” pisano: „W szeregach polskiej klasy robotniczej rejonu powinni kształcić się przyszli sternicy budownictwa socjalistycznego Polskiej Republiki Rad”.

Międzywojenna rzeczywistość była jednak dość daleka od tych wyidealizowanych komunistycznych planów – uważa Henryk Stroński. Nowi robotnicy w większości wywodzili się z miejscowej ludności polskiej, bardzo religijnej, wychowanej w duchu polskiej tradycji kresowej. Represje antypolskie w drugiej połowie lat trzydziestych wyraźnie dowodzą, że uznanie ich za świadomych przyszłych bojowników o Polską Republikę Rad – było przynajmniej przedwczesne.

W ZSRS nigdy nie ukrywano, że eksperyment z autonomią zrodził się z wrogości do państwa polskiego. Raczej na odwrót, „antypolskie” oblicze Marchlewszczyzny ukazywano przy każdej nadarzającej się okazji. Na łamach „Trybuny Radzieckiej” jeden z czołowych komunistów polskich w Związku Sowieckim – Tomasz Dąbal – pisał: „Rycerzyki Piłsudskiego, o ile się gotują jako najmici imperialistów angielskich do nowej wojny z ZSRR, liczą w razie jej wszczęcia na sympatię ludności polskiej w pasie przygranicznym oraz na to, że w oczach mas pracujących Polski i zagranicą będą mogli nową wojnę imperialistyczną przedstawić jako rzekomą walkę o wyzwolenie ludności polskiej, jęczącej pod jarzmem bolszewickim. Zdłudne są te nadzieje. Ponadto wzrost sympatii i przywiązania ludności polskiej ZSRR do Władzy Radzieckiej sam przez się wywiera rewolucjonizujący wpływ na masy robotniczo-chłopskie Polski, a zwłaszcza na robotników i chłopów Białorusi i Ukrainy Zachodniej”.

Tomasz Dąbal nieprzypadkowo wymienił tereny zamieszkiwane przez dwie najliczniejsze w II Rzeczypospolitej mniejszości słowiańskie, były one bowiem traktowane w ZSRS jako przeciwwaga polskiej mniejszości narodowej w Związku Sowieckim. Polska prasa sowiecka nie marnowała okazji do podkreślania tej współzależności. Charakter polsko-sowieckich wzajemnych stosunków w tym okresie niewątpliwie sprzyjał pogłębianiu świadomości politycznej i aktywności społecznej tych grup mniejszościowych po obu stronach granicy. Nie ulega również wątpliwości, że stopień komunizowania się ludności ukraińskiej i białoruskiej w Polsce był mniej więcej proporcjonalny do stopnia sowietyzowania się Polaków na dalszych Kresach.

W tworzeniu sowieckiej autonomii polskiej wyraźnie przeważał zewnętrzny aspekt polityczny. Miał on tak doniosłe znaczenie, że nawet gdyby w ZSRS nie było odpowiednio licznej polskiej mniejszości narodowej, nadającej się do przeprowadzenia „polskiego” eksperymentu, kierownictwo komunistyczne nie zawahałoby się przed stworzeniem pozorów jej istnienia. Dowodów potwierdzających dominację celów zewnętrznych w tej sprawie jest sporo. Oto fragment rezolucji II Zjazdu Rad Polskiego Rejonu Narodowego im. J. Marchlewskiego (19 i 20 marca 1927 r.): „Zjazd obecny ma znaczenie sięgające poza granice Związku Radzieckiego. Będzie on naocznym porównaniem polityki narodowościowej władzy sowieckiej z polityką faszystowskiej Polski, gnębiącej mniejszości narodowe”. Podobną treść miał powitalny telegram wysłany do uczestników zjazdu przez Feliksa Dzierżyńskiego: „Głos wasz dojdzie do mas pracujących Polski, które nie dopuszczą do nowego wystąpienia zbrojnego przeciwko Ukrainie i Białorusi, obliczonego na to, ażeby odebrać ziemie włościanom oraz przerwać ich pracę w zakresie budownictwa socjalizmu”<sup>5</sup>. Telegram autorstwa najbar-

<sup>5</sup> Archiwum Akt Nowych, MSZ, sygn. 6705, s. 167.

dziej utytułowanego z sowieckich komunistów – Polaków, wymownie świadczy o wadze politycznej sowieckiego eksperymentu. Dzierżyńskiemu i innym polskim działaczom komunistycznym dawał on szansę działania na płaszczyźnie narodowościowej – w środowisku Polaków zamieszkałych w Związku Sowieckim. Ta okoliczność podnosiła ich autorytet polityczny wśród komunistów sowieckich, jak również przynosiła satysfakcję osobistą.

Polityczne cele i zadania tworzenia polskiej autonomii określono od razu jasno i wyraźnie. Miała udowodnić, że jedynie w państwie sowieckim jest możliwe „pełnowartościowe, szczęśliwe życie polskich mas pracujących”. Bronisław Skarbek, jeden z czołowych twórców koncepcji polskiej autonomii sowieckiej, zamieścił na ten temat na łamach „Trybuny Radzieckiej” artykuł pod bardzo wymownym tytułem: *Nasza sowietyzacja Polski*, w którym otwarcie pisał, że ta działalność ma znaczenie przede wszystkim dla polityki zewnętrznej i jest skierowana przeciw Polsce. „Faszystów polskich najbardziej doprowadza do wściekłości fakt oddziaływania postępów budownictwa socjalistycznego wśród polskich mas pracujących ZSRR na robotników i włościan w samej Polsce, usuwa bowiem im spod nóg grunt dla agitacji faszystowskiej”.

Wszystko to – zdaniem Strońskiego – świadczy o panującej wówczas w ZSRS atmosferze psychozy wojny z II Rzeczpospolitą. Jednocześnie łudzono się, że w Polsce istnieje już sytuacja rewolucyjna i że stanie się ona pierwszym ogniwem przyszłej socjalistycznej Europy.

Wzmózniona fala propagandy militarystycznej była zapowiedzią zbliżającego się terroru stalinowskiego. Władze świadomie podtrzymywały w społeczeństwie stałe napięcie i oczekiwanie na kolejne zaciekle starcia z prawdziwymi i rzekomymi wrogami władzy sowieckiej. Perspektywa rewolucji światowej, obalenia ustroju burżuazyjnego w Polsce i wykorzystanie dla tych celów Marchlewszczyzny były dobrymi hasłami do podtrzymania wojowniczych nastrojów i stałego szukania wrogów nie tylko w środowisku polskim, ale i w całym społeczeństwie sowieckim.

Dzisiaj w Dowbyszu prawie co piąty dorosły mieszkaniec pracuje w fabryce porcelany, znanej na Podolu już w XIX stuleciu. W latach trzydziestych fabryka została gruntownie zmodernizowana i rozbudowana. W niepodległej Ukrainie kupili ją Rosjanie z Kaługi. Początkowo nosili się z planami zwiększenia produkcji, ale wkrótce ich zapał osłabł. Obecnie, jak mówią miejscowi, fabryka wegetuje.

Przed II wojną światową o Polakach mieszkających w ZSRS mówiono jako „o tych za Zbruczem”, podobnie jak dziś o rodakach mieszkających na byłych Kresach II Rzeczypospolitej mówi się jako „o tych za Bugiem”. W okresie międzywojnia „tych za Zbruczem” było według oficjalnych sowieckich statystyk 750 tys. Szacunki niezależnych badaczy mówią o ponad 1,2 mln osób. Dziś „ci zza Zbruczka” mieszkają na tzw. dalszych Kresach, ponad 500 km od obecnej granicy polskiej. Po latach antypolskiej polityki sowieckiej mogliby się wynarodowić, zasymilować i zniknąć z mapy narodowościowej dzisiejszych niepodległych Ukrainy i Białorusi. Tak jednak się nie stało. Niektórzy uważają to za cud, inni traktują to jako niezwykle fenomen polskości kresowej, która, czym większe represje, tym jest bardziej trwała.

Polska na tych ziemiach ostatni raz była obecna ponad trzysta lat temu. I przez te wszystkie lata rosyjska, a potem sowiecka władza zawsze (poza nielicznymi wyjątkami) zmuszała ludzi do rezygnacji z polskości, wmawiała im, że są spolonizowanymi Ukraińcami czy Białorusinami. Dziś polskość wychodzi z ukrycia. Sporo zasymilowanych Polaków z pasją odkrywa swoje korzenie. Na Ukrainie nie ma już obaw, że powróci polityka okrutnej depolonizacji Kresów.